



ŚWIATŁO JEDI

W galaktyce, rządzonej przez prześwietną
REPUBLIKĘ i chronionej przez czcigodnych
i mądrych RYCERZY JEDI, panuje pokój.

Republika planuje niebawem wysłanie w najdalsze
zakątki Zewnętrznych Rubieży stacji kosmicznej
LATARNIA GWIEZDNY BLASK, stanowiącej symbol
wszystkiego, co dobre. Ma ona nieść światelko nadziei
każdemu, kto ją dostrzeże.

Podczas gdy Republika przeżywa błogi okres rozkwitu,
znakomicie mają się również jej przerażający nowi
wrogowie. Strażnicy pokoju i sprawiedliwości będą
musieli wkrótce stawić czoła niebezpieczeństwu
zagrożającemu im samym, galaktyce, a także Mocy...



ŚWIATŁO JEDI



CHARLES SOULE

Tłumaczyła
Anna Hikiert-Bereza

Tytuł oryginału: Star Wars: The High Republic: Light of the Jedi
Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała / Słowne Babki
Korekta: Martyna Kałan, Lena Kielak / Słowne Babki
Konsultacja: Rafał Przyborowski
DTP: Marzena Andziak

© & TM 2024 Lucasfilm Ltd. All rights reserved.

ISBN 978-83-8216-563-0

Wydawca:
Wydawnictwo Olesiejuk,
an imprint of Dressler Dublin sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki
ul. Poznańska 91
wydawnictwo@dressler.com.pl
www.wydawnictwo-olesiejuk.pl

Dystrybucja: www.dressler.com.pl
Księgarnia internetowa: www.swiatksiazki.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Druk: CPI Moravia Books s. r. o.

Star Wars. Wielka Republika. Światło Jedi to fikcja literacka.
Wszystkie nazwy, miejsca i zdarzenia są fikcyjne i powstały
w wyobraźni autora, a jakiegokolwiek podobieństwo do miejsc,
zdarzeń i osób, żywych czy zmarłych, jest całkowicie przypadkowe.

*Dla Hanny, Sama, Chrise i Jaya,
którzy kochają Gwiezdne wojny
tak samo jak ja*

WIELKA REPUBLIKA

ŚWIATŁO JEDI

I MROczne WIDMO

II ATAK KLONÓW

MROczNY UCZEŃ

(powieść na podstawie niezrealizowanych odcinków serialu *Gwiezdne wojny: Wojny klonów*)

III ZEMSTA SITHÓW

KATALIZATOR

(wprowadzenie do filmu *Łotr 1. Gwiezdne wojny – historie*)

AHSOKA

LORDOWIE SITHÓW

TARKIN

HAN SOLO. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

THRAWN

NOWY ŚWIT

(wprowadzenie do serialu *Star Wars: Rebelianci*)

THRAWN: SOJUSZE

THRAWN: ZDRADA

UTRACONE GWIAZDY

ŁOTR 1. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

IV NOWA NADZIEJA

BATTLEFRONT II: ODDZIAŁ INFERNO

DZIEDZIC JEDI

BATTLEFRONT: KOMPANIA ZMIERZCH

V IMPERIUM KONTRATAKUJE

VI POWRÓT JEDI

KONIEC I POCZĄTEK

KONIEC I POCZĄTEK. DŁUG ŻYCIA

KONIEC I POCZĄTEK. KRES IMPERIUM

OSTATNI STRZAŁ

WIEŻY KRWI

PHASMA

VII PRZEbudzenie MOcy

VIII OSTATNI JEDI

IX SKYWALKER. ODRODZENIE

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce....

Moc jest z galaktyką.

Trwa era Wielkiej Republiki – pokojowego sojuszu światów, rządzonego przez zgodne istoty, w którym wszystkie głosy są uważnie wysłuchiwane, a decyzje podejmuje się jednomyślnie, nie pod przymusem. To okres ambitnych przedsięwzięć, rozkwitu kultury, przymierza, realizacji Wielkich Projektów. Kanclerz Lina Soh, wizjonerka, kieruje Republiką z eleganckiego miasta-świata Coruscant, położonego w świetlistym centrum Jądra Galaktyki.

Poza Jądrem i jego licznymi pokojowymi Koloniami istnieją jednak też Rubieże – Wewnętrzne, Środkowe i wreszcie, na granicy znanej przestrzeni kosmicznej, Zewnętrzne. Ich światy obfitują w nowe możliwości, czekające tylko na śmiałości dość odważnych, by dotrzeć do nich nielicznymi dobrze wytyczonymi szlakami nadprzestrzennymi... Czają się tam jednak również zagrożenia. Zewnętrzne Rubieże to przystań dla wszystkich, którzy szukają ucieczki przed prawem Republiki, pełna najróżniejszego rodzaju mętów i... drapieżników.

Kanclerz Soh poprzysięgła przywieść światy Zewnętrznych Rubieży na łono Republiki dzięki ambitnym, zakrojonym na szeroką skalę programom, takim jak na przykład Latarnia Gwiazdny Blask. Dopóki jednak stacja nie zostanie

uruchomiona, obowiązek utrzymania porządku i sprawiedliwości na galaktycznym pograniczu spoczywa na barkach rycerzy Jedi, strażników pokoju, zdolnych do niesamowitych wyczynów, dokonywanych dzięki tajemniczemu polu energii zwanemu Mocą. Współpracujący blisko z Republiką Jedi zgodzili się ustanowić na terenie Zewnętrznych Rubieży przyczółki, aby nieść pomoc wszystkim, którzy mogliby jej potrzebować.

To właśnie oni stanowią na tym obszarze jedyne źródło wsparcia dla istot, które nie mają się do kogo zwrócić. I chociaż poszczególne placówki funkcjonują samodzielnie, pozbawione bezpośredniego wsparcia Wielkiej Świątyni Jedi na Coruscant, skutecznie odstraszą istoty żądne czynienia potajemnie zła.

Mało kto odważyłby się sprzeciwić rycerzom z zakonu Jedi.

Zawsze znajdą się jednak tacy, którzy spróbują...



CZĘŚĆ PIERWSZA

Wielka Katastrofa



ROZDZIAŁ PIERWSZY

NADPRZESTRZEŃ, „SZLAK DZIEDZICTWA”

3 godziny do zderzenia

„Wszystko w jak najlepszym porządku”.

Kapitan Hedda Casset powtórnie zlustrowała odczyty na ekranach i wyświetlaczach wbudowanych w jej fotel dowodzenia. Zawsze sprawdzała je co najmniej dwa razy. Miała za sobą ponad czterdzieści lat służby na pokładach różnych statków i była zdania, iż dwukrotne sprawdzanie, czy wszystko jest w porządku, stanowi główny powód, dla którego zdołała utrzymać się w tym zawodzie tak długo. Druga kontrola potwierdziła pierwszą.

– Wszystko w porządku – powiedziała, tym razem na głos, informując o tym załogę mostka. – Pora na obchód. Poruczniku Bowman, przekazuj mostek pod pańskie rozkazy.

– Tak jest, pani kapitan – potwierdził jej pierwszy oficer, wstając ze swojego fotela, aby przygotować się do zajęcia jej miejsca, dopóki Hedda nie wróci ze swojej wieczornej przechadzki.

Nie każdy kapitan frachtowca dalekiego zasięgu dbał o swój statek niczym o jednostkę wojskową. Hedda widywała

statki kosmiczne o brudnych podłogach, przeciekających przewodach, z popękkanymi iluminatorami – i podobne uchybienia raniły ją do żywego. Hedda Casset zaczynała jednak swoją karierę pilotki frachtowca w zespole połączonej grupy operacyjnej Malastare-Sullust, utrzymującej porządek w ich małym sektorze na granicy Środkowych Rubieży. Na początku pilotowała Z-24 Incoma, jednomiejscowy myśliwiec z rodzaju tych nazywanych przez wszystkich bzykami. Wypełniała głównie misje zapewniające ochronę, polowała na piratów i tym podobne. W końcu dochrapała się stanowiska dowódczyni ciężkiego krążownika, jednej z największych jednostek we flocie. Przyzwoity awans, osiągnięty dzięki ciężkiej pracy.

Opuściła szeregi PGO Mallust z wyróżnieniem i przerzuciła się na dowodzenie statkami kupieckimi dla Gildii Byne, przechodząc na coś w rodzaju spokojnej emerytury. Ale trzydzieści kilka lat spędzonych w strukturach wojskowych oznaczało, że porządek i dyscyplina nie tylko weszły jej w krew – stały się jej krwią. I w ten oto sposób dowodziła teraz każdym statkiem, który trafił pod jej rozkazy, jakby szykowała się do decydującego starcia z armadą Huttów – nawet jeśli przewoziła jedynie ładunek skór ogrutów ze świata A na świat B. I statek, którym właśnie zawiadywała, „Szlak Dziedzictwa”, nie był pod tym względem wyjątkiem.

Hedda wstała, przyjmując i odwzajemniając służbisty salut porucznika Jary’ego Bowmana. Przeciągnęła się, czując, jak kręgi w jej kręgosłupie strzelają i trzaskają. Zbyt wiele lat spędzonych na patrolach w ciasnych kokpitach, za dużo manewrów w stanie wysokiej grawitacji – czasem podczas walki, czasem dlatego, że dzięki temu czuła, że żyje.

„Prawdziwym problemem – pomyślała, wsuwając za ucho niesforny kosmyk włosów – jest jednak po prostu zbyt wiele lat”.

Opuściła mostek, porzucając precyzyjną maszynię swojego pokładu dowodzenia i ruszając ciasnym korytarzem ku większemu, bardziej chaotycznemu światowi „Szlaku Dziedzictwa”. Statek był modułowym frachtowcem klasy A ze stajni Kaniff Yards, ponad dwukrotnie starszym od Heddy. To wynik, który plasował tę jednostkę zdecydowanie poza skalą idealnego wieku operacyjnego, nadal jednak w obrębie bezpiecznych parametrów, jeśli tylko odpowiednio się o nią dbało i regularnie serwisowało – co rzeczywiście miało miejsce. Pilnowała tego skrupulatnie jej kapitan.

„Szlak” był również statkiem powszechnego zastosowania, przeznaczonym do transportu zarówno towarowego, jak i pasażerskiego – stąd też określenie „modułowy” w jego nazwie. Pokażną część struktury statku stanowił wielki integralny przedział, ukształtowany na podobieństwo długiego, trójkątnego graniastosłupa – z maszynownią na rufie i mostkiem w części dziobowej, podczas gdy pozostała przestrzeń była zarezerwowana na ładunek. Od centralnego „kręgosłupa” w regularnych odstępach odchodziły ramiona bomów ładunkowych, do których można było mocować mniejsze moduły – do stu czterdziestu czterech, dowolnie konfigurowanych, zdolnych pomieścić każdy towar, jaki wymarzyłaby sobie galaktyka.

Heddzie podobała się uniwersalność jej statku, mogącego przewozić niemal wszystko. Oznaczała ona bowiem, że nigdy nie wiadomo było, co się człowiekowi trafi i przed jakim wyzwaniem stanie podczas kolejnego zlecenia. Raz Casset kierowała statkiem, gdy połowę przestrzeni ładunkowej głównego przedziału zmieniono w potężny zbiornik wodny, aby przetransportować gigantyczną mieczorybę ze sztormowych mórz na Tibrinie do prywatnego akwarium hrabiny z Abregado-rae. Hedda i jej załoga dostarczyli bestię na miejsce bezpiecznie – nie lada wyczyn. Jeszcze trudniejsze było

jednak zaholowanie cholerstwa z powrotem na Tibrin trzy cykle później, gdy przekłute stworzenie się rozchorowało, bo ludzie hrabiny nie mieli pojęcia, jak się o nie troszczyć. Hedda musiała jednak przyznać: kobieta zapłaciła za pełny fracht, żeby odesłać mieczorybę do domu. Całe mnóstwo ludzi, szczególnie z wyższych sfer, pozwoliłoby jej po prostu zdechnąć.

Ten kurs należał dla odmiany do łatwiejszych. Sekcja ładunkowa „Szlaku Dziedzictwa” była w około osiemdziesięciu procentach zapełniona osadnikami kierującymi się na Zewnętrzne Rubieże z przeludnionych światów Jądra i Kolonii, poszukującymi nowego startu, nowych możliwości i nowych przestrzeni. Doskonale ich rozumiała. Hedda Casset przez całe swoje życie nie mogła usiedzieć w jednym miejscu. I w głębi duszy sądziła, że tak właśnie przyjdzie jej też umrzeć: wyglądając przez iluminator w nadziei, że dostrzeże coś, czego nie widziała do tej pory.

Ponieważ to był kurs transportowy, większość modułów statku ustawiono w podstawowej konfiguracji pasażerskiej, z rozkładanymi siedzeniami, które można było zmienić w łóżka – teoretycznie dość wygodne, by dało się na nich spać. Do tego infrastruktura sanitarna, przestrzeń bagażowa, kilka holokranów, niewielkie kambuzy – i to w zasadzie wszystko. Na osadników, skłonnych zapłacić odrobinę więcej za dodatkowe wygody i udogodnienia, w niektórych modułach czekały obsługiwane przez droidy zautomatyzowane kantyny i prywatne przedziały sypialne, ale w niezbyt dużej liczbie. To byli oszczędni, skromnie żyjący ludzie. Gdyby mieli kredyty na zbyciu, nie wybieraliby się w ogóle na Zewnętrzne Rubieże, aby spróbować zarabiać tam na życie. Mroczny skraj galaktyki obfitował w wyzwania – i to zarówno te ekscytujące, jak i śmiertelnie groźne. W istocie przeważały te ostatnie.

„Nawet droga do tego miejsca jest zdradliwa” – pomyślała Hedda, wpatrując się w lśniący tunel nadprzestrzenny, wirujący za dużym bulajem, który akurat mijała. Prędko oderwała od niego wzrok, wiedząc, że istnieje ryzyko, iż skończy, stercząc pod nim następne dwadzieścia minut, jeśli nie oprze się pokusie. Nadprzestrzeni nie można było ufać. Jasne, przydawała się – dzięki niej można było dotrzeć z miejsca na miejsce. Stanowiła też klucz do ekspansji Republiki poza tereny Jądra, ale nikt tak naprawdę do końca jej nie rozumiał. Jeśli twój droid nawigacyjny źle obliczył współrzędne skoku – jeżeli pomylił się choćby minimalnie – można było zboczyć z wyznaczonej trasy, głównego szlaku prowadzącego przez dany teren, i skończyć na mrocznej ścieżce, wiodącej nie wiadomo dokąd. To się zdarzało nawet podczas podróży dobrze znanymi trasami nadprzestrzennymi w pobliżu centrum galaktyki, tutaj zaś, w miejscu, w którym szlaki były ledwo przetarte... cóż, należało być bardzo, ale to bardzo ostrożnym.

Hedda odsunęła troski na bok i podjęła marsz. Prawda była taka, że „Szlak Dziedzictwa” mknął obecnie najbardziej uczęszczaną i najlepiej poznaną trasą prowadzącą do światów Zewnętrznych Rubieży. Statki bezustannie przemierzały ją w obydwu kierunkach. Nie było się czym martwić.

Zarazem jednak dziewięć tysięcy istot żywych na pokładzie tego statku zawierzyło kapitan Heddzie Casset, że dostarczy ich bezpiecznie do celu ich podróży. Martwiła się. To był jeden z obowiązków towarzyszących tej pracy.

Gdy korytarz się skończył, Hedda znalazła się w centralnej części kadłuba – przestronnym, okrągłym i otwartym pomieszczeniu, którego istnienie wymuszała konstrukcja statku, zmienionym obecnie w coś w rodzaju świetlicy. Grupa dzieci kopała piłkę, podczas gdy w pobliżu stali pogrążeni w rozmowie dorośli; wszyscy cieszyli się chwilą wytchnienia, z dala od ciasnoty modułów, w których spędzali większość czasu.

W pomieszczeniu nie było żadnych specjalnych udogodnień – stanowiło po prostu miejsce zbiegu kilku krótkich korytarzy, ale było tu czysto. Statek, na wyraźną prośbę pani kapitan, wyposażono w zautomatyzowaną ekipę serwisową, która dbała o to, by wnętrza były schludne i uprzątnięte. Po ścianie pełził właśnie któryś z droidów nadzorczych, wypełniając jedno z niezliczonych zadań, których wymagało utrzymanie porządku na pokładzie jednostki takiego kalibru.

Hedda poświęciła chwilę na przyjrzenie się tej grupce pasażerów statku: około dwadzieścioru ludziom w różnym wieku, pochodzącym z rozlicznych światów. Ludziom, ale i kilkorgu czwororękim, porośniętym sierścią Ardennianom, rodzinie Givinów o charakterystycznych, trójkątnych oczach... Był tu nawet Lannik o ściągniętej, pomarszczonej twarzy, włosach upiętych na czubku głowy i dużych, spiczastych uszach odstawionych na boki – przedstawicieli tego gatunku nie widywało się zbyt często. Niezależnie jednak od tego, skąd pochodzili, wszystko to były zwykłe istoty, zabijające czas w oczekiwaniu na moment, w którym zacznie się ich nowe życie.

Jedno z dzieci, śniadoskóry, rudy chłopiec, podniosło na nią wzrok.

– Kapitan Casset! – zawołał mały.

Znała go.

– Witaj, Serj – powiedziała. – Co tam dobrego? Wszystko u was w porządku?

Reszta dzieci przerwała grę i otoczyła ją wianuszkciem.

– Przydałyby się jakieś nowe holofilmy – poinformował ją Serj. – Obejrzelśmy już wszystko, co jest w systemie.

– Nie mamy nic poza tym – odparła surowo Hedda. – I przestańcie próbować włamać się do archiwum, żeby zobaczyć tytuły z ograniczeniem wiekowym. Sądzicie, że o tym nie wiem? To mój statek. Wiem o wszystkim, co się dzieje

na pokładzie „Szlaku Dziedzictwa”. – Pochyliła się w jego stronę. – Wszystko.

Serj zarumienił się i zerknął w stronę swoich przyjaciół, którzy również nagle znaleźli całe mnóstwo wielce interesujących rzeczy przykuwających ich uwagę na kompletnie nieciekawej podłodze, suficie i ścianach przedziału.

– Spokojnie – powiedziała po chwili Hedda, prostując się. – Rozumiem. To dość nudny lot. Pewnie mi nie uwierzycie, ale już niedługo, gdy wasi rodzice zaprzęgną was do spulchniania ziemi albo budowania ogrodzeń lub odganiania rankorów, zatęsknicie za czasem spędzonym na tym statku. Odprężcie się więc po prostu i odpoczywajcie.

Serj przewrócił oczami i wrócił do przerwanej gry w piłkę – jakiegokolwiek były jej zasady.

Hedda uśmiechnęła się szeroko i ruszyła przed siebie, kiwając po drodze głową temu i owemu i gawędząc z tym lub tamtym pasażerem. Ludzie. Niektórzy na pewno dobrzy, inni raczej źli, ale przez następnych kilka dni to wszystko będą jej ludzie. Uwielbiała te kursy. Nieważne, co się ostatecznie wydarzy w życiu tych istot – leciały na Rubieże, aby spełnić swoje marzenia. Ona zaś była ich częścią i to sprawiło, że czuła się dobrze.

Republika kanclerz Soh nie była idealna – żaden rząd nie mógł taki być – ale stanowiła system, który dawał ludziom przestrzeń na marzenia. Więcej: zachęcał do posiadania marzeń, zarówno tych dużych, jak i małych. Republika miała swoje ułomności, ale mogło być znacznie gorzej.

Obchód Heddy potrwał ponad godzinę – dokonała inspekcji przedziałów pasażerskich, ale sprawdziła również ładunek superschłodzonej ciekłej tibanny, aby upewnić się, że jest ona odpowiednio zabezpieczona (była), zajrzała do maszynowni (silniki w porządku), skontrolowała status napraw systemów recyrkulacji atmosferycznej statku (w toku,

wszystko szło zgodnie z planem) i zweryfikowała, czy rezerwy paliwa nadal są bardziej niż wystarczające na resztę podróży, z uwzględnieniem odpowiedniego marginesu (były).

Na pokładzie „Szlaku Dziedzictwa” wszystko było, jak trzeba: w idealnym porządku. To był jej maleńki, dobrze utrzymany świat w dziczy kosmosu; bezpieczna bańka komfortu, chroniąca przed próżnią. Nie mogła ręczyć za to, co czeka na tych osadników, gdy już rozpierzchną się po Zewnętrznych Rubieżach, ale zamierzała się upewnić, że dotrą tam cali i zdrowi, by mogli przekonać się o tym na własnej skórze.

Wróciła na mostek, na którym porucznik Bowman, widząc ją, zerwał się na równe nogi.

– Kapitan na mostku! – zawołał i reszta oficerów natychmiast wyprostowała się na swoich stanowiskach.

– Dziękuję, Jary – powiedziała Hedda, podczas gdy jej zastępca odsunął się na bok i wrócił na swoje miejsce.

Usiadła w swoim fotelu dowodzenia, automatycznie zerkając na wyświetlacze i szukając czegokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, iż coś jest nie tak.

„Wszystko w najlepszym porządku” – pomyślała.

– BIIP! BIIP! BIIP! BIIP! – Rozległo się wycie alarmu, głośne i natarczywe. Światła na mostku przeszły w tryb awaryjny, oblewając wszystko czerwoną poświatą. Wir nadprzestrzeni za przednim panelem widokowym wyglądał jakoś... dziwnie. Może to była wina światel awaryjnych, ale miał przyprawiający o mdłości czerwony odcień.

Hedda poczuła, jak przyspiesza jej puls. Jej umysł automatycznie przestawił się w tryb bojowy.

– Raport! – warknęła, skanując pospiesznie własne ekrany w poszukiwaniu źródła alarmu.

– Alarm uruchomiony przez komputer nawigacyjny, pani kapitan! – zawołał jej nawigator, kadet Kalwar, młody

Quermianin. – Coś jest na szlaku. Tuż przed nami. Coś dużego. Kontakt za dziesięć sekund... – Głos kadeta był spokojny i Hedda była z chłopaka dumna. Był zapewne niewiele starszy od Serja.

Jeśli zaś chodzi o sytuację... cóż, wiedziała, że coś takiego jest zwyczajnie niemożliwe. Szlaki nadprzestrzenne były puste – w tym właśnie rzecz. Nie potrafiła przywołać z pamięci wszystkich naukowych teorii, które za tym stały, wiedziała jednak z niezachwianą pewnością, że kolizje nadświetlne na wytyczonych trasach po prostu się nie zdarzały. To było „matematycznie absurdalne”, jak zwykli nazywać podobne zjawiska inżynierowie.

Hedda miała jednak na koncie wystarczającą liczbę lotów w głębokiej przestrzeni, by wiedzieć, że niemożliwe zdarzało się cały czas – każdego cholernego dnia. Zdawała też sobie sprawę, że dziesięć sekund to мгновение oka przy prędkości, z jaką podróżował „Szlak Dziedzictwa”.

„Nadprzestrzeni nie można ufać” – powtórzyła sobie w myśli.

Hedda Casset wcisnęła dwa przyciski na swojej konsoli dowodzenia.

– Przygotować się – poleciła spokojnym głosem. – Przejmuję kontrolę...

Z podłokietników jej fotela dowodzenia wystrzeliły dwa dźwigi sterowania. Hedda ujęła je w dłonie.

Odczekała chwilę potrzebną na zaczerpnięcie oddechu... i przejęła stery.

„Szlak Dziedzictwa” nie był bzykiem Z-24 Incoma ani nawet jednym z nowszych republikańskich longbeamów. Służył od dobrze ponad stu lat. To frachtowiec u kresu – jeśli nie poza nim – swojej funkcjonalności, załadowany po brzegi, wyposażony w silniki zaprojektowane do powolnego, stopniowego przyspieszania i ostrożnego wytracania prędkości,

przeznaczony do dokowania w kosmoportach i orbitalnych placówkach załadunkowych. Miał manewrowość księżycza.

„Szlak Dziedzictwa” nie był też okrętem. Daleko mu było do jednostki wojskowej. Mimo to Hedda pokierowała nim właśnie w taki sposób.

Wprawne oko pilotki oraz instynkt umożliwiły jej dostrzeżenie przeszkody na ich drodze – zbliżającej się z zawrotną prędkością, dość dużej, by, czymkolwiek była, została rozpylona na atomy wraz z jej, Heddy, statkiem wskutek zderzenia i przybrała formę pyłu dryfującego na wieczną pamiątkę po gwiazdnych szlakach. Nie było miejsca na uniki. Jej statek nie mógłby skrócić w porę. Mało miejsca, mało czasu.

Ale za sterami statku zasiadała kapitan Hedda Casset, a ona nie zamierzała zawieść jednostki pod swoimi rozkazami.

Ledwie dostrzegalny skręt lewego drążka sterowniczego, nieco mocniejszy obrót tego po prawej... i „Szlak” ruszył z kopyta. Trochę gwałtowniej, niżby sobie tego życzył, ale dając dokładnie tyle, ile jego kapitan wiedziała, że potrafi z siebie wykrzesać. Potężny frachtowiec prześlizgnął się nieopodal stojącej na ich drodze przeszkody, która przemknęła obok ich kadłuba tak blisko, że Hedda była pewna, że pęd zmierwił jej włosy – nawet mimo iż dzieliło ją od niej wiele warstw kadłuba i osłon.

Najważniejsze jednak, że... żyli. Nie doszło do zderzenia. Ich statek przetrwał.

Targnęły nimi dzikie turbulencje, którym Hedda mężnie starała się stawić czoła. Walczyła ze wstrząsami i z drzeniem, przymknąwszy oczy – nie musiała widzieć, co się dzieje dookoła, by prowadzić swój statek pewną ręką. Szkielet frachtowca jęczał potępieńczo, cała konstrukcja szczykała i postukiwała.

– Dasz radę, starszku! – dodawała mu głośno animuszu Hedda. – Jasne, może i jesteście parą zgrzybiałych tetryków,

ale mamy jeszcze mnóstwo do przeżycia! Zadbam o ciebie najlepiej, jak zdołam – i dobrze o tym wiesz. Nie zawiodę cię... jeśli tylko ty nie zawiedziesz mnie.

Hedda nie zamierzała zawieść swojego statku.

Mimo to... on zawiódł ją.

Jęk przeciążonego metalu zmienił się w krzyk. Towarzy-
szące podróży przez przestrzeń kosmiczną vibracje zmieniły
tembr na taki, który Hedda czuła wcześniej stanowczo zbyt
wiele razy. To była skarga statku, który wyczerpał do cna
swoje możliwości – albo doznawszy zbyt dotkliwych obrażeń
wskutek walki, albo, tak jak teraz, zmuszony do manewru
ponad jego siły.

„Szlak Dziedzictwa” dał z siebie wszystko i za chwilę miał
umrzeć rozdarty na strzępy. Zostało im góra kilka sekund.

Hedda otworzyła oczy. Puściła drążki sterownicze i wkle-
pała w konsolę komendy aktywujące osłony grodzi, rozdziela-
jących poszczególne moduły na wypadek awarii, licząc na to,
że w ten sposób zapewni swoim pasażerom szansę na prze-
trwanie. Pomyślała o Serju i jego kolegach grających w piłkę
w świetlicy i o tym, jak grodzie awaryjne opadały właśnie,
odcinając drogę do modułów pasażerskich, być może wię-
żąc ich w strefie, do której już wkrótce wedrze się próżnia.
Hedda miała nadzieję, że gdy rozbrzmiał alarm, dzieci wró-
ciły do swoich rodzin.

Nie mogła jednak być tego pewna.

Nie wiedziała, czy tak się stało.

Spojrzała w oczy swojemu pierwszemu oficerowi, który
wpatrywał się w nią boleśnie świadom tego, co się za chwilę
wydarzy. Zasalutował jej.

– Pani kapitan – powiedział porucznik Bowman. – To był...
Potężna siła rozdarła mostek.

Hedda Casset zginęła, nie mając pojęcia, czy zdołała kogo-
kolwiek ocalić.



ROZDZIAŁ DRUGI

ZEWNĘTRZNE RUBIEŻE, UKŁAD HETZAL

2,5 godziny do zderzenia

Technik skanowania (trzeciego stopnia) Merven Getter był gotów. Gotów zakończyć zmianę, wrócić promem do układu wewnętrznego, zajrzeć do kantyny oddalonej o kilka ulic od kosmoportu na Księżycu Korzeniowym, w której za barem stała Sella. Gotów przekonać się, czy może to dziś jest ten dzień, w którym zdobędzie się w końcu na odwagę, aby ją gdzieś zaprosić. Była Twi'lekanką, a on Mirialaninem, ale właściwie co za różnica? „Wszyscy jesteśmy Republiką” – jak głosił górnolotnie slogan kanclerz Soh, ludzie jednak w to wierzyli. Jeśli chodzi o ścisłość, to Merven chyba też. Postawy się zmieniały. Możliwości były nieograniczone.

Być może któraś z nich objawi się w końcu technikowi skanowania (trzeciego stopnia), stacjonującemu w placówce monitorowania, położonej wysoko na ekliptyce układu Hetzal w głębi Rubieży, smutnie daleko od jasnycy światel i ciekawych planet Jądra Republiki. Być może technik skanowania (trzeciego stopnia), który spędzał całe dnie na gapieniu się w holokrany, rejestrowaniu przylotów i odlotów

jednostek przybywających do układu i opuszczających go, faktycznie mógł wpaść w oko uroczej czerwonoskórej damie, serwującej mu kufel miejscowego ale trzy do czterech wieczorów w tygodniu? Sella miała osobliwy nawyk poświęcania mu wiele swojego czasu i ucinania sobie z nim pogawędek, wracając do niego co i rusz, podczas gdy inni klienci falami napływali do jej małej knajpki i ją opuszczali. Miał wrażenie, że jego historie o życiu na odległym skraju układu w niewyjaśniony sposób ją interesują.

Merven nie miał pojęcia, co ją w nich właściwie tak fascynowało. Niekiedy w układzie pojawiały się statki, wyskakując z nadprzestrzeni i ukazując się na jego ekranach. Innym razem odlatywały i wówczas ich niewielkie ikony znikaly z jego wyświetlaczy. Nigdy nie działo się nic ciekawego – rozpiskę lotów wprowadzano z wyprzedzeniem, więc zazwyczaj wiedział, co przyleci albo odleci. Merven był odpowiedzialny za pilnowanie, by wszystko przebiegało zgodnie z planem – i w zasadzie niewiele więcej. W przypadku zaistnienia mało prawdopodobnej sytuacji, w której wydarzyłoby się coś niezwykłego, jego zadaniem było po prostu poinformować o tym ludzi znacznie ważniejszych niż on.

Technik skanowania (trzeciego stopnia) Merven Getter spędzał dni na patrzeniu, jak ludzie udają się w różne miejsca. W przeciwieństwie do niego. On trwał niezmiennie w jednym punkcie od lat.

Ale może dziś będzie inaczej? Pomyślał o Selli. Pomyślał o jej uśmiechu, o tym, jak ozdabiała swoje lekku tymi misternymi plecionkami, które, jak mu zdradziła, sama projektowała... O tym, jak odrywała się od każdego wykonywanego właśnie zajęcia, żeby nalać mu do kufła jego ulubiony ale w chwili, gdy Merven przekroczył próg kantyny – nim jeszcze zdążył poprosić o piwo.

Tak. Zaprosi ją na kolację. Dziś wieczór. Miał trochę oszczędności i znał pewne miejsce niedaleko od kantyny. Jeśli chodzi o ścisłość, również niezbyt daleko stąd... ale wszystko po kolei.

Najpierw musi przetrwać do końca tej smętnej zmiany...

Merven obejrzał się na swoją koleżankę po fachu, techniczkę skanowania (drugiego stopnia) Vel Carann. Chciał ją zapytać, czy mógłby dziś wyjść nieco wcześniej, żeby polecieć promem na Księżyc Korzeniowy. Czytała coś w najwyższym skupieniu na swoim datapadzie. Pewnie jedną z tych powieści o Jedi, na których punkcie miała takiego hopla. Merven kompletnie tego nie rozumiał. Przeczytał kilka takich książek – pełno ich było w placówkach na odległym pograniczu Republiki. We wszystkich aż się roilo od nieodwzajemnionych uczuć i łzawych spojrzeń, a jedyną akcją były walki na miecze świetlne, stanowiące bez dwóch zdań substytut tego, na co bohaterowie naprawdę mieli ochotę. Vel nie powinna czytać prywatnych materiałów w czasie pracy, ale gdyby jej o tym przypomniał, stuknęłaby tylko w ekran i przełączyła się na poradnik techniczny, twierdząc, że nie robiła przecież nic złego. Problem w tym, że była techniczką drugiego stopnia, on zaś trzeciego, co oznaczało w skrócie tyle, że dopóki wykonywał swoją pracę, ona była święcie przekonana, że nie musi wykonywać własnej.

Nie. Nie było sensu nawet pytać o możliwość wcześniejszego wyjścia. Nie w przypadku Vel. Przesiedzi jakoś przez resztę zmiany. Zostało już niewiele czasu i...

Na jednym z jego ekranów coś się pojawiło.

– Hmm – mruknął Merven.

To było... dziwne. Nic nie powinno się zjawić w układzie przez najbliższe dwadzieścia minut – lub coś koło tego.

Chwilę później pojawiło się drugie coś. Kilka cosiów. Naliczył dziesięć...

- Co u... – zaczął Merven.
- Jakiś problem, Getter? – spytała Vel, nie podnosząc wzroku znad swojego ekranu.
- Nie jestem pewien – odmruknął. – Mam kilka niezaplanowanych wejść do układu... I jednostki nie zwalniają.
- Chwila... co takiego? – zainteresowała się Vel, odkładając dataekran i w końcu spoglądając na własne monitory. – Och. To dziwne...

Na ekranach Mervena wyświetliły się kolejne symbole, zbyt wiele, by je zliczyć na pierwszy rzut oka.

– Czy to... Czy sądzisz, że to są... asteroidy? – podsunęła nerwowo.

– Przy tej prędkości? Wyskakujące z nadprzestrzeni? No nie wiem. Przeprowadź analizę – poradził jej Merven. – Sprawdź, czy zdołasz stwierdzić, co to takiego.

Vel milczała.

Merven obejrzał się na nią.

– Ja... nie wiem jak – bąknęła. – Po ostatniej aktualizacji nie uczyłam się nawet obsługi systemów... Odniosłam wrażenie, że masz wszystko pod kontrolą, a ja tak naprawdę jestem tutaj tylko dla nadzoru, no wiesz, i...

– W porządku – przerwał jej, z zaskoczeniem rejestrując, że jakoś wcale go to nie dziwi. – Czy zdołasz przynajmniej wytyczyć trajektorie? Ta podprocedura pozostaje niezmienna od jakichś dwóch lat.

– Tak – potwierdziła. – Dam radę.

Merven odwrócił się z powrotem do swoich ekranów i zaczął wklepywać w klawiatury komendy.

W układzie znajdowały się obecnie czterdzieści dwie anomalie, wszystkie poruszające się z prędkością zbliżoną do świetlnej. Innymi słowy: niesamowicie szybko. Znacznie szybciej, niż dopuszczały przepisy. Jeśli to rzeczywiście były statki, to ktokolwiek je pilotował, ryzykował potężny

mandat. Merven wątpił jednak, by mieli do czynienia ze statkami. Obiekty były na to zbyt małe – to po pierwsze, a po drugie, nie miały sygnatur napędów.

Może to faktycznie były asteroidy? Kosmiczne skały ciśnięte do układu przez jakąś nieznaną siłę? Jakaś dziwna burza kosmiczna albo rój komet? To nie mógł być atak, co to, to nie – tego jednego Merven był pewny. W Republice panował pokój i wszystko wskazywało na to, że przez jakiś czas miało tak pozostać. Wszyscy byli szczęśliwi, prowadząc spokojne życie. Republika funkcjonowała, jak trzeba.

Nie mówiąc już o tym, że w układzie Hetzal nie znajdowało się nic, z powodu czego warto byłoby go atakować, ot, kilka planetek ze światem głównym i z dwoma zamieszkałymi księżycami – Owocowym i Korzeniowym, skupionymi na produkcji rolnej. Mieli tu gazowe olbrzymy i kule zamrożonej skały, ale zasadniczo było tu po prostu całe mnóstwo farmerów i tego, co akurat uprawiali. Merven wiedział, że to ważne, iż Hetzal eksportuje żywność na teren całych Zewnętrznych Rubieży, a część produkcji trafia nawet do innych układów. Była też cała ta bacta, o której czytał – jakiś cudowny zamiennik juvanu, który próbowali uprawiać na głównym świecie, mający rzekomo zrewolucjonizować przemysł medyczny, gdyby tylko zdołali rozgryźć, jak produkować go na większą skalę... ale tak czy inaczej, to wszystko były tylko rośliny. Kto by się ekscytował roślinami?

Jeśli o niego chodzi, to największą chlubę Hetzala upatrywał w tym, iż stanowił on ojczystą planetę słynnej skrzelośpiewaczki nazwiskiem Illoria Daze, która potrafiła wprowadzić swój aparat głosowy w takie drgania, że mogła wyśpiewywać melodie w sześcigłosowej harmonii. To zaś w połączeniu z jej niezwykłym urokiem, dowcipem i historią z rodzaju „od zera do milionera” uczyniło ją sławną w całej Republice. Ale Illoria

mieszkała teraz na Alderaanie, pośród tamtejszych sławnych i bogatych.

Hetzal nie oferował nic godnego uwagi. To wszystko nie miało sensu...

Na jego ekran wysypała się kolejna garść obiektów, teraz było ich tak wiele, że jego nadmiernie obciążony komputer tracił zdolność do śledzenia ich wszystkich. Merven pomniejszył obraz, przestawiając się na widok ogólnoukładowy, aby zyskać lepsze rozeznanie w sytuacji. Widział, że te obiekty – czymkolwiek były – nie wyskakują z nadprzestrzeni wyłącznie w strefie bezpiecznego dostępu do układu. Pojawiały się wszędzie, a niektóre z nich paskudnie blisko...

– O nie! – jęknęła Vel.

– Też to widzę – zawtórował jej Merven. Nie musiał nawet przeprowadzać analizy trajektorii.

Anomalie kierowały się ku słońcu, a wiele z nich znalazło się na kursach kolizyjnych z zamieszkanymi światami i ich stacjami orbitalnymi. Żaden z tych obiektów nie zwalniał. Ani odrobinę. A przy prędkości zbliżonej do nadświatłowej, z jaką się poruszały, bez znaczenia było to, czy mieli tu do czynienia z asteroidami, statkami, czy też pienistymi bąbelkami cukierków musujących. Z czymkolwiek się zderzą, to po prostu... zniknie.

Na jego oczach jeden ze świetlnych punktów uderzył w bezzałogowego satelitę łączności. Zarówno on, jak i satelita zniknęły z jego ekranu, a galaktykę zaśmiecilo właśnie nieco więcej pyłu kosmicznego.

Hetzal Prime była dość duża, by przetrwać bombardowanie kilkoma takimi obiektami i wyjść z tego cało – jako ciało niebieskie. Nawet dwa zamieszkałe księżyce mogły przyjąć na siebie kilka trafień. Całe jednak życie na ich powierzchni...

Na Księżycu Korzeniowym przebywała Sella.

– Musimy się stąd wynosić – powiedział Merven. – Jesteśmy w strefie rażenia, a w każdej sekundzie pojawia się ich coraz więcej. Musimy dotrzeć do promu.

– Racja – potwierdziła Vel głosem, w którym dały się ponownie słyszeć nuty świadczące o tym, iż stara się zapamiętać nad sytuacją. – Najpierw jednak powinniśmy wysłać ogólnoukładowy komunikat alarmowy. Musimy to zrobić.

Merven przykniął na chwilę oczy, a gdy z powrotem je otworzył, powiedział:

– Masz rację. Oczywiście.

– Aby uruchomić alarm ogólnoukładowy, komputer będzie wymagał od nas obojga podania kodów autoryzacyjnych – poinformowała go Val. – Zrobimy to na mój sygnał.

Wklepała w swoją klawiaturę kilka komend. Merven zrobił to samo, a potem zaczął na jej znak. Gdy skinęła głową, wpisał swój kod.

Pokład operacyjny rozbrzmiał cichym, dźwięcznym sygnałem alarmowym, gdy wiadomość została wysłana. Merven wiedział, że podobny odgłos słychać teraz w całym układzie Hetzal – dobiegał z głośników wszystkich jednostek: od kabin śmieciarek aż po pałac ministra na świecie głównym. Czterdzieści miliardów istot podnosiło właśnie z przerażeniem głowy i patrzyło w górę. Jedną z nich była urocza czerwonoskóra Twi'lekanka, zastanawiająca się zapewne, czy jej ulubiony Mirialanin zjawi się w kantine dziś wieczór.

Merven wstał.

– Zrobiliśmy, co do nas należało – oznajmił. – Teraz do promu. Wiadomość wyjaśniającą, co się dzieje, możemy wysłać po drodze.

Vel pokiwała głową i również wstała ze swojego miejsca.

– Racja. Wyośmy się z...

Jeden z obiektów wyskoczył z nadprzestrzeni tak blisko i poruszał się tak szybko, że w ujęciu kategorii astronomicznych uderzył w nich w tej samej chwili, w której się pojawił.

Przelotny rozbłysk ognia i anomalia zniknęła – wraz ze stacją monitorowania, dwójką obsługujących ją techników skanowania oraz wszystkimi ich marzeniami, obawami, nadziejami i pragnieniami; energia kinetyczna obiektu rozpyliła wszystko na atomy w czasie krótszym niż mgnienie oka.